Rozmaitości

Dnia 18. Czerwca — Nr 25. — 1836 Roku.

ZBÓJCY
W GÓRACH KALABRYJSKICH.

Powieść z dzieła Alex. Dumas: *Souvenirs d'Antony.*

MARYJA.

(Dokończenie.)

W téjże chwili dał się słyszéć drugi wykrzyk; byłto wykrzyk dowódzcy bandytów, którego w tę stronę wystrzał sprowadził, i który już tę walkę zdaleka ujrzał, i właśnie wtenczas nadbiegł, kiedy się upadkiem ubudwóch zapaśników skończyła. Krzyknąwszy, wyciągnął za nimi ramię, jakby ich zatrzymać pragnął; ale widząc, że już z ócz mu zniknęli, skoczył jak ów dziki jaguar, i prawie jednym skokiem stanął na krawędzi skały, która się w urwistość zawiesiła; pożądliwém okiem spojrzał w otchłań, i ujrzał na jéj dnie zgruchotane ciało bandyty, od rwącego strumienia po urwiskach bystro toczone.

»Kamracie!« ozwał się w tymże samym czasie głos pod nim o kilka stóp z dołu idący, »kamracie!...« Giacomo zwrócił oczy w to miejsce, zkąd szedł głos ku niemu, i ujrzał woltyżera, jadącego na drzewie, które się z rozpadliny skały nad przepaść smukło wygięło.

Obadwaj przeciwnicy, skoro ze skały spadli, zaraz się w powietrzu puścili. André lecąc był tyle szczęśliwym, że się drzewa uchwycił i tak sobą zwiennie nań chybnął, iż się mu pod siebie wziąć je udało. Byłoto szczęście wprawdzie nie małe, jednakże na nic mu nie przydatne, bo miał nad swoją głową skałę dziesięć stóp wysoką, a pod sobą urwistą przepaść, w które bandyta naprzód już pomłynkował. »Ah!« zawołał zdziwiony Giacomo; »kto jesteś?«

»Do tysiąc kartaczów! mówi po francuzku; chwała Bogu, przecież się zrozumimy... Kto jestem? Jestem André Frochot, rodem z Corbeil z pod Paryża, woltyżer 31. linijowego pułku, któremu cesarz nadał nazwę: *tyskawica!*«

»Cóż teraz będziesz robił?« rzekł Giacomo.

»A diabli wiedzą; osiodłałem jak widzisz szkapę, z któréj mi zsiąść trudno, a mam do was *ultimatum* od mego pułkownika.«

»Bardzo dobrze,« rzekł Giacomo.

»Jeźli dobrze,« odpowiedział André, »bądźże tak grzeczny, spuść mi co takiego, coby się liną lub powrozem nazwać mogło, i podnieś mię z upadku; zrób tak...« to mówiąc, zaczął naśladować rękami ruch człowieka wiadro ze studni ciągnącego.

Giacomo odszedł kilka kroków na stronę wyciągnął z krzaka, ukrytą, po śmierci orłów za nic już mianą linę i spuścił ją jednym końcem w dół; André chwycił pożądliwie, obwinął ją około siebie, zawiązał mocno, a potém ująwszy obiema rękami nad głową, zawołał: »W górę kamracie!!« Giacomo nie był leniwy, oparł się mocno nogami, i ciągnął, co mu sił stało. André, kręcąc się jak wiszący kłębek na długiéj nici, zaczął odprawiać swoje wniebowstąpienie. Gdy już był u szczytu, Giacomo przydeptał silnie nogą linę, aby się nie wyśliznęła, podał rękę woltyżerowi, który się jéj obiema rękami chwycił, i wszystkie siły w kupę zebrawszy, z dziwną lekkością na skałę wyskoczył.

»Dziękuję ci, kamracie; dobry z ciebie człowiek;« rzekł André; odwiązał linę, która mu za przepaskę służyła, i zaczął po sobie poprawiać, jak gdyby miał stanąć do przeglądu.« »Poczciwiec z ciebie wielki; jak będziesz kiedy w podobnym przypadku, André Frochot przybieży ci w pomoc, na to się spuścić możesz.«

»Chętnie temu wierzę; a teraz powiedź, jakie masz zlecenia od swego pułkownika?«

»Otóż patrzaj, przypomniałeś mi rzecz bardzo niesmaczną; jego zlecenia były w mojém czako, a moje czako diabli wzięli. Ten tam poszedł go wprawdzie szukać...« to rzekł rzuciwszy okiem na przepaść; »ale bardzo wątpię, aby mi go przyniósł.«

»Czy nie przypominasz sobie, co te zlecenia zawierały?« zapytał Giacomo.

»O, to ci na palcach wyliczę.«

»Ciekawym słyszeć.«

»One zawierały, uważaj dobrze,« to mówiąc przybrał André ważną minę posła, »one zawierały te dwa ważne artykuły, po piérwsze: że wszystkim bandytom będzie życie darowane, po drugie: że sam ich dowódzca powieszonym zostanie.«

»Nic więcéj?«

»Tylko to, nic więcéj.«

»I tego jesteś pewien?«

»Czy tego pewien jestem? alboż masz mię za śmieszka? Com powiedział, za to ci ręczę mojém słowem honoru.«

»Więc rzeczy dadzą się uporządkować,« rzekł Giacomo. »Pójdź za mną.«

André posłuchał i poszedł. Dziesięć minut nie trwało, żołniérz i bandyta stanęli na owéj płaszczyznie, która już nam znana. Bandyci leżeli na ziemi. Maryja siedziała pod głogowym chaszczem i dawała piersi dziecięciu.

»Dobra wiadomość, moi przyjaciele,« rzekł Giacomo przyszedłszy; »Francuzi przyrzekają wam życie.«

Zbójcy porwali się i stanęli na nogach; Maryja zamyślona podniosła smętliwie głowę.

»Wszystkim?« zapytał jeden bandytów.

»Wszystkim,« odpowiedział Giacomo.

»Bez wyjątku?« zapytała wątpliwie Maryja.

»Cóż tych poczciwców obchodzi, czy jest wyjątek jaki, byle on ich się nie tyczył,« odpowiedział niecierpliwie Giacomo. — »Dobrze dobrze,« rzekła Maryja, i zwiesiła z potulnością głowę, nie czyniąc już żadnéj uwagi.

»To się ma rozumiéć,« rzekł jeden ze zbójców, »iż jest wyjątek, ale ten się tylko samego dowódzcy dotyczé.«

»Być może,« odpowiedział Giacomo.

»A ten, co tę wiadomość przynosi jest...?«

»Ten, a nie inny,« odrzekł Giacomo, wskazawszy na woltyżera.

Bandyta spojrzał z-iskrzoném okiem po swoich towarzyszach, a widząc na ich twarzach, że się z jego myślą wszyscy zgadzają, porwał za karabin, i wymierzył spieszno; André nie zadrzawszy wypatrzył się w zbójcę.

»Na krew Chrystusa! co robisz?« zawołał Giacomo, i zasłonił piersiami parlamentarza.«

»Chcę tego poganina nauczyć, jak umiémy płacić jego poselstwo,« odrzekł zbójca.

»A temu co się stało?« rzekł André i zaczął, ile mógł, wyciągać głowę, aby ujrzał bandytę, którego mu Giacomo swoim wzrostem zakrywał. »Czy on często miewa takie napady szaleństwa?«

»Daj temu pokój Luigi,« mówił daléj Giacomo, skinąwszy ręką, »odłóż swój sztuciec; takie jest zdanie twoje; jestżeś pewny, że ono jest całéj bandy?«

»Jestto zdanie wszystkich, nie prawdaż bracia?« zawołał Luigi, zwróciwszy się do swoich towarzyszy.

»Tak, tak; takie jest zdanie wszystkich!« wrzasnęli razem wszyscy; »niech żyje nasz dowódzca! z nim chcemy żyć, z nim i umiérać! niech żyje nasz ojciec! niech żyje Giacomo!« Maryja nic nie rzekła, ale po jéj licu potoczyła się łza wdzięczności.

»Wszak słyszysz?« rzekł Giacomo, zwróciwszy się do woltyżera.

»A jużci, że słyszę, odpowiedział André, »ale niech mię diabli wezmą, jeżeli rozumię.«

»Więc jaśniéj to wyłożę: ci ludzie powiadają, że chcą ze mną żyć lub umiérać; masz bowiem wiedzić, że ja... jestem ich dowódzca.«

»Ty?« rzekł André, to wymówiwszy stanął w postawie żołniérskiéj, przyłożył rękę do czoła, wyciągnął się jak struna, i złożył swoje wojskowe uszanowanie. »Przebacz, nie miałem honoru znać twojéj godności; André umié oddać cześć temu, komu cześć przynależy.«

»Dobrze tedy;« rzekł Giacomo, a rzekł z wyrazem téj dostojnéj dumy, którąby samemu królowi do twarzy być mogła; »gdy mię już znasz, i wiesz kto jestem, idźże i powiédz swojemu pułkownikowi, iż Giacomo, chociaż już z głodu umiérający, nié ma w swojéj bandzie ani jednego, któryby życiem swego dowódzcy chciał sobie wolność kupić.«

»No, no, to pięknie; nié ma się czemu dziwić,« rzekł André pomuskując wąsy; »to dowodzi, że nawet między..... jakto mówią, znajdują się poczciwi ludzie. Ja lubię oddać cześć, komu przynależy.«

»A teraz radziłbym, abyś dłużéj tu nie bawił,« rzekł Giacomo, patrząc z niespokojnością na sierdziste twarze bandytów; »mogłoby tu przyjść do sprawy, za którą nie ręczę.

»Do sprawy? hm... są ludzie, którzy się spraw nie bardzo lękają,« rzekł André, spojrzawszy z pogardą po bandytach; »lecz słusznie mówisz, nie jestto miejsce, gdzieby długo rozprawiać można, zwłaszcza,« to rzekł dobitniéj, »że tu wcale nic, a nic jeść nié ma.« Giacomo zmarszczył czoło, i spojrzał iskrzącém okiem na woltyżera. Woltyżer odparł wzrok wzrokiem; a potém, gdy się już twarz dowódzcy ułagodziła, obrócił się, i odszedł wolnym krokiem, nucąc sobie ulubioną piosnkę:

Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie,
Kiedy do bitwy w szeregu stanie!
Ilekroć puknie, i kulą świśnie,
Tyle mu sława nad głową błyśnie.
Powraca z dumą, laurem okryty,
Jako ojczyzny syn znamienity:
Wita go naród, zna uszanowanie,
Bodajto żołniérz, żołniérz mospanie!

Gdy ostatnią zwrotkę odspiéwał, stanął, i obrócił się ku zbójcom, aby go snać za tchórza nie miano; pomuskał wąsy, poprawił włosy, spojrzał po sobie, czy wszystko w porządku; i dopiéro po tym przeglądzie puścił się w drogę. Ledwie uszedł kilka kroków, już go skała zasłoniła.

Bandyci stali jak słupy na tém samém miejscu, na którém ich André zostawił; żaden nie przerwał milczenia; ich oczy były w ziemię jak wświdrowane; sam tylko Giacomo patrzył w dal przed siebie, jak gdyby w głębi widokręgu w coś mocno się wpatrywał. Nie długo trwało, ocknął się, i odszedł, słowa nie rzekłszy. Dopiéro teraz rzucili się wszyscy szukać sposobu pokonania głodu, który ich srodze pożerał. Jedni wykopywali korzonki, drudzy zbiérali głóg lub inne dzikie owoce; sama tylko Maryja, oparta o ścianę skały, i ruchu nie zrobiła; czuła, że jeszcze ma cokolwiek pokarmu w piersiach dla pożywienia dziecięcia.

Po dwóch godzinach powrócił Giacomo; w jednéj ręce niósł kij, żelazem okuty, jakiego rzymscy wolarze do pędzenia trzód używają, w drugiéj powróz, który nam już znany:

»Bądźcie w pogotowiu, pójdziemy w drogę.«

»Kiedy?« zawołali zbójcy.

»Téj nocy jeszcze,« odpowiedział Giacomo.

»Znalazłeś przesmyk dowódzco?«

»Znalazłem.«

Radość oblała twarz bandytów, bo żaden nie wątpił, i wierzył mocno w słowa dowódzcy. Maryja, powstawszy z ziemi, podała mu dziécię, i rzekła: »Giacomo oto syn twój, pocałuj go.«

Giacomo pocałował dziécię z taką miną, jaką ma ten, który się boi, aby kto na twarzy jego śladu ludzkości nie dostrzegł i o słabość go nie posądził, a potém wyciągnął ramię ku wschodowi: »Za pół godziny będzie już noc.«

Wszyscy opatrzyli broń, i świeżo nabili.

»Jesteścież gotowi?« zapytał Giacomo.

»Jesteśmy.« — »Za mną!«

Ruszyli z miejsca, i szli od dowódzcy prowadzeni w stronę, która była naprzeciw téj, którą André był odszedł. Gdy kilkadziesiąt kroków uszli, dowódzca szepnął, a cały poczet stanął: »Za mną, zwolna i cicho, jeden za drugim!« to rzekłszy, spuścił się w dół ścieżką, która była tak wązka, że ledwie na jednę stopę wystarczała; wiodła krawędzią po nad okropne urwisko. Uszedłszy znowu kroków kilkadziesiąt, stanął, i ostrzegł, że się ścieżka przerwała, i że trzeba ją śmiałym skokiem zachwycić. Stało się. Wszyscy przeszli szczęśliwie. Teraz zaczęła się ścieżka zaginać i ciekła w stronę, gdzie przezorny pułkownik czaty postawił; byłto przesmyk, gdzie jeden człowiek dziesięciu wstrzymać zdołał; wiedział o tém dobrze Giacomo, bo wydał głos cichy, i krótki wprawdzie, ale tak ostry, że go każdy z bandytów zrozumiał, i domyślał się, że tu o życie idzie. Między dwiema ścianami, we dwoje zgięty, sunął się, jak żuraw', jeden za drugim; już się zbliżali ku straży; każdy stłumił dech w piersiach, i trzymał broń w pogotowiu; ale nieszczęście, dziécię zapłakało.

Giacomo spojrzał za siebie, a jego oczy zaświéciły w ciemności, jak oczy tygrysa. Maryja wtknęła spieszno dziecięciu w usta pierś wyzdrojoną; dziécię porwało pierś chciwie, i zamilkło! Maryja otarła pot śmiertelny z czoła, i westchnęła. Po téj krótkiéj przerwie ruszono naprzód. Nie minęło dziesięć minut, a dziécię, które się zawiodło, i pokarmu w podanéj piersi nie znalazło, zakwiliło znowu... Giacomo wydał ryk, który nie mógł straży baczną zrobić, bo jeżeli go słyszała, miała go raczéj za wycie wilka, aniżeli za głos człowieka.

Maryja drząca na całém ciele, przytuliła usta swoje do ust dziecięcia, które ssać je

zacząwszy, umilkło. Znowu kilka kroków postąpiono, ale dziécię, głodem trawione, znowu zapłakało!...

Jak wściekła hyena skoczył terazGiacomo, i nim się Maryja spostrzegła, uchwycił dziécię za nogę, i wywinąwszy nim kilkakroć w powietrzu, jakto czynią pastérze, kiedy z procy kamień rzucają, uderzył nim o pień drzewa, i roztrzaskał mu głowę.

Maryja skamieniała;... z włosem zjéżonym, z osłupiałym wzrokiem, stała przez chwilę; poczém schyliła się machinalnie, podniosła zgruchotane ciało dziecięcia, włożyła je do fartuszka i poszła spokojnie za rzędem zbójców, na których czele znowu stanął Giacomo. Szli czas niejaki, aż się góra cokolwiek dostępniejszą robić zaczęła. Instynktem dzikiego źwiérza, pomiędzy chaszcze i skał zakręty przedziérał się Giacomo, aż się dostał do wysokiéj, badylami gęsto zarośniętéj trawy, która ledwo wężowi przejścia dozwalała. Tędy odprawiano pochód przez całą godzinę w największém milczeniu, jeżeli nieustanne pełzanie po ziemi, jeżeli skakanie ze skały na skałę, pochodem zwać można. Nakoniec przyszli do téj części góry, która miała ścianę prostopadle odciętą; byłoto miejsce cokolwiek płaskie i na przeciwnéj stronie, o dwadzieścia stóp w oddaleniu, takąż samę płaszczyznę mające; otchłań, która te dwa płaskie wierzchołki rozdzielała, rozwarła się w skutek wstrząśnień wulkanicznych; zdarzenie bardzo dawne, bo z najstarszych ludzi nikt nie zapamiętał, aby te dwa bliźniaki jedną górą były. Nie małe było zdumienie zbójców, że Giacomo w tę stronę ich zaprowadził; nie mogli pojąć, coby tu robić mieli; to ubocze góry dobrze im było znane; będąc otoczeni żołniérzami, każdy z nich szukał wycieczki, a przeto każdy z nich aż do tego dostał się miejsca; ale skoro tak okropną przepaść pod nogami ujrzał, skoro okiem zmierzył tak wielką szérokość od zbawiennéj ziemi rozdzielającą, zaraz zwiesił głowę i wrócił zkąd przyszedł. A przecież teraz na téj krawędzi, nad tą przepaścią zatrzymał ich Giacomo i kazał im w pół-kole stanąć. Wykonali rozkaz, bo wiedzieli z doświadczenia, co to za człowiek; jenijusz jego nie raz ich wybawił z największéj przygody, ileżto razy, gdy ich witała śmierć oczywista, nie wyszukał sposobu zbawienia! Stanęli, i czekali, co przedsięweźmie.

Giacomo miał wzrok spokojny i wypogodzony; rozwinął powróz, rozciągnął go na długość całą, skinął na jednego z bandytów, i przywiązał mu do pięści jeden koniec powrozu, a drugi przymocował do środka kija, żelazem okutego; wzniósł kij nad głowę, rozmachał go jakby spisę w powietrzu, i rzucił nim z całéj swéj siły na drugą stronę. Bandyci, przyzwyczajeni widzieć w noc najciemniejszą, puścili oko za lotem spisy, i widzieli, jak na przeciwnéj stronie, pomiędzy dwa dęby z jednego pnia idące, przeleciawszy, w ziemię ustrzegła. Teraz odwiązał Giacomo koniec powrozu od pięści bandyty; zaczął powróz wyprężać z całéj swéj mocy, aż nim wyrwał kij z ziemi, i ciągnąc go ku sobie, przyciągnął ku dwom dębom, gdzie przez horyzontalne położenie oparty, już się daléj ciągnąć nie dawał, a to właśnie było zamiarem bandyty. Tego dokonawszy, otoczył trzykroć około drzewa drugi koniec powrozu, który w ręku trzymał, i zawiązał go na kilka guzów; potém raz go jeszcze około drzewa obwinął, i znowu na guz zawiązał. Teraz podszedł na krawędź; usiadł, spuścił nogi w przepaść, ujął powróz obiema rękami, zsunął się w otchłań, i tak, siłą swoich pięści, ze zwieszonémi w przepaść nogami, po tym napowietrznym moście zaczął odbywać przeprawę.

Z otwartą gębą i wytrzyszczonémi oczyma patrzali za nim bandyci. Widzieli, jak on, kładąc rękę po ręce, tak lekko naprzód pomykał, jak gdyby się nogami po ziemi opiérał; w ten sposób dosunął się spiesznie do brzegu przeciwległéj strony, zebrał jeszcze raz wszystkie siły, dźwignął chyżo nogi na powróz, uchwycił się korzenia owych dwóch dębów i jednym śmiałym, silnym ruchem, wyskoczył na płaszczyznę... Tu, opatrzywszy z wszelką przezornością kij i powróz, znalazłszy, że dosyć są mocne do przeprawy dla wszystkich, dał znak swoim ludziom, aby się ku niemu tąż drogą puścili.

Bylito odważni, rzutliwi górale; na skinienie dowódzcy, tuszni w siły swoje, puścili się śmiało jeden za drugim, i wszyscy stanęli u celu szczęśliwie.

Maryja czekała aż się przeprawił ostatni; gdy na nią przyszła kolej, wzięła dolne końce fartuszka w zęby, chwyciła powróz obiema rękami, i podobnie drugim przybyła przepaść bez wszelkiéj obawy.

Teraz dopiéro wolno odetchnął dowódzca, bo widział wszystkich swoich ludzi około siebie zdrowych i wesołych; uratował im życie, i w ten im sposób odwdzięczył tę spaniałość: że ceną życia jego, żaden wolnym być nie chciał. Z pogardą spojrzał na posterunki Francuzów, których ognie łyskały od stai do stai; a potém zwróciwszy się do swoich, zawołał z dumą i głośno: »Naprzód!« Bandyci ruszyli wesoło i sporym krokiem.

W godzinę ujrzeli wioskę u podnóża, góry i spuścili się w dolinę. Giacomo wszedł śmiało do chaty włościanina, nazwał się po imieniu i oświadczył, czego ludzie jego potrzebni: z największym pospiechem zostali przez włościan we wszystko zaopatrzeni. Zapłaciwszy hojnie dostawę, puścili się znowu w drogę, i w pół godziny byli już między górami. Giacomo poszedł na rozpoznanie miejsca, czy jest bezpieczne; lecz nie długo

bawił, i powróciwszy dał znak, że tu nocować i wieczerzać będą.

Z wielką rozkoszą wykonaném zostało to wydane hasło, bo chociaż każdy od głodu był pożérany, przecież nie śmiał jeść wprzódy, aż na to dowódzca nie wydał pozwolenia. W kilku minutach płonął wielki ogień; bandyci usiadłszy w koło, dobyli jadła, i nagradzali sobie z wielką gorliwością czas długiego postu; Giacomo powiódł oczyma, i nie ujrzał Maryi; porwał się z ziemi, i odszedł spieszno. Puścił się tą samą drogą, którą przyszli, biegł z góry ku wiosce; razem krok zaciął, i stanął jak wryty; ujrzał Maryję pod rozłożystym dębem klęczącą: wydrążała rękami dół w ziemi na grób swego dziécięcia...

Gdy to Giacomo ujrzał, wypadł mu chléb, który trzymał w ręku; patrzył na nią przez długą chwilę; a nie mając serca przemówić do niéj, powrócił smutny i zamyślony do koczowiska.

Już było po wieczerzy; Giacomo wydał hasło, i rozstawił straże; uczynił to więcéj ze zwyczaju, aniżeli z obawy. Bandyci, potrzebni spoczynku, legli w około ogniska; Giacomo rozścieliwszy płaszcz na uboczu pod krzakiem, poszedł za ich przykładem. Płomień, niczém nie podsycany, coraz słabiéj wymykał się z ogniska; długo mykał w niebo, aż nakoniec omdlał i w zarzewiu skonał; czarny płaszcz nocy okrył zasypiających. Straż niewczasem wysilona, nie mogła się ustrzédz od snu napaści. Najbardziéj uczuł tę przemoc bandyta, mający straż w okręgu koczowiska; bojąc się, że go sen zwalczy, zaczął się krzepić raźnym, wprzód i wzad przechodem. Nie długo trwało, nadstawia ucha, i słyszy głos łagodny, a razem smutny, nazwisko jego wymawiający; obraca się i poznaje — Maryję.

»Luigi! nie lękaj się, odłóż broń; ja to jestem ja Maryja.«

Luigi zrobił znak szczérego uszanowania.

»Biédny młodzieńcze,« mówiła daléj, »jesteś utrudzony, sen ci zamyka powieki, nie możesz ustać na nogach, a masz straż odbywać.«

»Cóż czynić? taki rozkaz dowódzcy;« odrzekł Luigi.

»Mnie Bóg snem nie pobłogosławił,« rzekła Maryja głosem smutnym; »mnie sen unika, bo jestem — nieszczęśliwą matką.« To mówiąc wskazała na skrwawiony fartuszek. »Krew mego dziécięcia spać mi nie daje, słyszę jego kwilenie; oh! ja nie zasnę... Ty wiész, że mam wzrok i słuch dobry, daj mi twój sztuciec, ja za ciebie na straży stać będę; gdy zacznie świtać, przebudzę cię; dwie godzin snu, chętnie ci użyczę. Przyjm ten podarek.«

»Ależ dowódzca... gdy się dowié, że ja...« rzekł Luigi snu spragniony.

»Wszak i twój dowódzca pod snu przemocą, zkądże się dowié?«

»To wszystko prawda, ale...któż mi zaręczy, że...«

»Ja ci zaręczam i wszystko biorę na siebie.« Bandyta oddał sztuciec, i nie szukając długo legowiska, uszedłszy kilka kroków, padł jak nieżywy.

Maryja, oparta na sztucu, stała długą chwilę z oczyma w ziemię spuszczonémi; nakoniec ocknąwszy się z zamyślenia, spojrzała w około siebie ponurym wzrokiem; a widząc, że wszyscy twardym snem uspieni, opuściła stanowisko, i poszła między śpiących, tak lekkim i cichym krokiem, że się zdawała być duchem, ziemi niedotykającym. Stanąwszy przy krzaku, pod którym spał Giacomo, odwiodła kurek, przyłożyła sztuciec do jego piersi, zwróciła oczy do nieba, i..... grom runął po całym lesie.

»Cóż to jest? co to znaczy? jesteśmy napadnięci!« krzyknęli zbójcy ze snu się porwawszy.

»Nic to, nic,« odrzekła Maryja spokojnie; »to moja nieostrożność. Luigi, za któregom na straży stanęła, nie przestrzegł mię, że sztuciec był nabity i kurek odwiedziony; przypadkiem dotknęłam się, a sztuciec wypalił.

Bandyci, mruknąwszy słowa niezrozumiałe, pokładli się i posnęli znowu.

Giacomo nie wydał najmniéjszego jęku; kula przeszyła go skróś serca.

Maryja oparła sztuciec o drzewo, odcięła od tołuwia głowę Giacoma, zawinęła ją w ten sam fartuszek, który był krwią jéj syna zbryzgany, i poszła ku dolinie. —

Nazajutrz rano uwiadomiono pułkownika, że jakaś dziewczyna mówić z nim żąda, która, jak powiada, miała zgładzić zbójcę, Giacomo zwanego. Pułkownik rozkazuje wprowadzić ją do namiotu. Maryja przyszedłszy, stanęła przed pułkownikiem, wypuściła z ręki jeden koniec fartuszka, a głowa bandyty potoczyła się do nóg pułkownika.

Pułkownik, chociaż do wszelkiéj zgrozy śród tylu bojów przyzwyczajony, nie mógł się przecież nie wzdrygnąć na taki widok; a potém zwróciwszy oczy na dziewczynę, która jak posąg rozpaczy, z bladą i surową miną, przed nim nieruchoma stała, zapytał: Ktoby ona była?

»Wczoraj byłam jego żoną... dziś, jego wdową!«

»Niech jéj wypłacą trzy tysiące dukatów,« rzekł na to pułkownik.

* * *

W cztery lat po tém zdarzeniu, umarła w Rzymie zakonnica, w klasztorze Śgo Krzyża, a sława wielkiéj świętobliwości towarzyszyła jéj do grobu; bo nie tylko, iż prowadziła życie przykładne, od chwili, w któréj klasztorną przysięgę złożyła, przyniosła także z sobą posagu 3,000 dukatów, które klasztor po jéj śmierci odziedziczył. Bliższe okoliczności jéj dawniéjszego życia zupełnie były nieznane; wiedziano tylko, że siostra Maryja była rodom z Kalabryi.

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

VI.

WYSTAWA SZTUK PIĘKNYCH.

(Dokończenie.)

Za najpiękniejszy obraz na całéj wystawie uważają dzieło Roberta, wystawiające rybaków z Chioggia, odpływających na morze w obec rodzin, trwogą o ich życie przejętych. Nie wielkito obraz i nie wielki przedmiot, ale ile tam życia, ile wyrazu w twarzach, ile prawdy! Artysta, tworząc to dzieło na włoskiéj ziemi, musiał być świadkiem tego rozłączenia się mężów z żonami, ojców z dziećmi i musiał podzielać ich uczucia, kiedy tak żywo je oddał. Robert dowiódł w tym obrazie, że nie przedmiot, nie imię bitwy wielkiéj, lub sławnego zdarzenia, stanowi wartość dzieła, ale sposób, jakim jest wykonane. Jak dumka, pełna tęsknoty i tkliwego smutku, większą ma wartość poetycką, niż obszérne, napuszone, a bezpoetyczne poema, tak *Rybacy* Roberta więcéj przemawiają do duszy widza, niż czterdziesto-kilko-stopowe obrazy, które pokryją kolosalną ścianę muzeum wersalskiego.

Obraz Hessego, na którym sławny Leonard di Vinci wystawiony jest, jak w młodości swojéj wypuszczał na wolność ptaszki, które na ten cel u ptaszników kupował, i z przedmiotu i objętości swojéj tak mały, jak obraz Roberta, zwraca także nieustannie uwagę widzów. Dzienniki ledwie go wspomniały, ale jestto dzieło pracowicie wykończone i prawie wyrównywające *Rybakom* Roberta. Teraz więcéj o nim piszą, niż o dziełach sławniéjszych mistrzów i pokazało się, że głos powszechny się nie mylił.

Grosa bitwa pod Piramidami zasługuje także na wspomnienie, nie tyle dla wielkiego talentu, ile z tego powodu, że obraz ten zawieszono obok *Rybaków* Roberta, jak gdyby dla przypomnienia, że obadwaj ci artyści nie dawno sami życiu swojemu położyli koniec. Dotychczas nie wiadomo, jaka rozpacz nimi miotała, jaki rodzaj boleści zbrzydził im życie. Gros przeżył był już wprawdzie najpiękniéjsze swoje dzieła i wszystko, co w ostatnich latach zrobił, dalekie było od dzieł, wykonanych pod cesarstwem; wyrzucano mu w pismach jego upadek i radzono złożyć pędzel. Możeto była zbyt surowa rada, może ją uważał za niewdzięczność spółczesnych, może też sam uczuł zbyt mocno znikanie swego talentu. Ale Robert w kwiecie wieku, w całéj sile jenijalnéj zdolności, odbiérając sobie życie nie zostawił nawet domysłów przyczyny fatalnego przedsięwzięcia i poniósł do grobu jakąś tajemnicę swojego czułego serca.

Oprócz wojen, wiele innych położeń życia ludzkiego oddanych jest na obrazach wystawy; są tu i święci i męczennicy, i sceny morskie i sceny lądowe, i rozmaite zwiérzęta i mnóstwo portretów ze wzrokiem, ścigającym cię wszędzie, gdzie się obrócisz. Pomiędzy niemi wielu jest deputowanych, a każdy z nich tak gorliwie, jak nigdy w życiu, zajęty pracą; wszyscy mają ołówki, albo pióra w ręku, jeden pisze mowę, drugi roztworzył oczy i niby ściga za myślą, która przed nim ucieka. Wszystkie piękności w turbanach, albo z włosami utrefionémi podług mody wieków średnich, siedzą na bogatych krzesłach gotyckich i w sukniach tak naturalnych, jak gdybyto były meble, przyniesione ze sklepu, i suknie nie pędzlem zrobione, ale igłą uszyte. W ogólności, gdzie nie potrzeba myśli, ale tylko naśladować materyjalną naturę, tam francuzcy artyści są niezrównani i dla tego portrety ich roboty wydają się niekiedy jak martwe lalki w sukniach prawdziwych.

Uważają za pomyślną zmianę, iż na tegorocznéj wystawie znajdują się tylko trzy obrazy mitologiczne, kiedy na wystawie r. 1824 naliczono ich jeszcze siedmdziesiąt kilka. Natomiast powiększyła się liczba obrazów z dawnéj historyi francuzkiéj. Mitologija utraca naturalnie swoję wartość w sztukach w miarę jak naród przychodzi do ukształcenia się samoistnego. Jakiż w istocie związek z obyczajem europejskim, z wiarą i religiją Europy, mają bogowie i boginie Greków i Rzymian? Czy nié ma Europa własnych dziejów, ażeby tylko marzyła o Troi, o Hektorze i Achillesie? Obce dzieje, obca religija, obcy ludzie, mogąż w artyście obudzić wielkie natchnienie?

Do technicznego wykończenia wielu obrazów, do doskonałości szczegółowych części dzieł dzisiéjszéj wystawy, przyczynia się przyjęte we Francyi oddawanie się wyłączne jednemu rodzajowi pracy. Co się dzieje w fabrykacyi rozmaitych towarów ze skutkiem bardzo pomyślnym, to naśladują niektórzy artyści. I to wyłączne oddawanie się malowaniu jednego przedmiotu, nadaje im niezrównaną, ale tylko w malowaniu wybranego przedmiotu biegłość. Malarz Granet nie należy zapewne do wielkich artystów, ale żaden z wielkich artystów dzisiejszych nie odda tak żywo, tak wiernie, jak on, cichości klasztoru, widoku kurytarzów i refektarzów i samych zakonników, dla tego, że Granet powiedział sobie, ze całe życie malować będzie tylko klasztory i zakonników.

Akwarelle dzisiejszéj wystawy dowodzą widocznego postępu. Zdawało się, że ten rodzaj malarstwa nie wyjdzie nigdy za zakres kwiatów i zwiérząt, aż oto teraz wdziéra się nawet w dziedzinę historyi. Jestto śmiałość, ale śmiałym szczęście często sprzyja.

Co do rycin i litografij, taką samę wystawę widzimy codziennie w sklepach, i o tym rodzaju nie wiele możnaby powiedzieć.

Rzeźbiarze upodobali sobie widocznie gabinety historyi naturalnéj. Przekładają zwierzęta nad ludzi i tylko niektórzy wystawili sławnych ludzi i aniołów, obstalowane chrzcielnice i ambony, a w ogólności ten rodzaj sztuki nie wiele na przyszłość obiecuje.

Kiedy na piérwszą wystawę sztuk pięknych w r. 1767 przyniesiono dwieście dzieł; ówczesne dzienniki nie mogły się nadziwić takiéj obfitości. Na wystawie r. 1771 było już trzysta dwadzieścia dzieł, co tak ówczesnych mistrzów-krytyków zgorszyło, iż przepowiedzieli upadek sztuki, jeżli w takim stosunku liczba artystów zwiększać się będzie; ale nadmienić trzeba, że wtenczas tylko członkowie akademii mieli przywilej wystawiania obrazów. Przepowiednia się nie ziściła. Zniesiono poźniéj przywilej akademii, zostawiając jéj tylko władzę przyjmowania lub odrzucania dzieł, podanych na wystawę publiczną. Wolność ta, jakkolwiek ograniczona, zrodziła najpiękniejsza dzieła Dawida, Gerarda, Grosa, Girodeta i innych.

Przedtém wystawy bywały co lat kilka, za restauracyi co dwa lata, od r. 1835 postanowiono, aby wystawa była coroczna. R. 1833 wystawionych było 3,318 dzieł; r. 1834 było ich 2,314, r. 1835 liczono ich 2,536. Na tegoroczną wystawę podano przeszło 5,000 dzieł i robót, ale sąd, złożony z członków akademii sztuk pięknych, odrzucił większą połowę, tak, iż umieszczono tylko 2,122 dzieł, pomiędzy któremi jest 137 rzeźb, 600 krajowidów i 500 portretów. Surowość dzisiejszych sędziów przypomina nieco przywilej członków dawnéj akademii i oburzyła tym bardziéj świat artystów, że to z natury swojéj rodzaj ludzi bardzo drażliwych, i że odrzucano dzieła znanych już korzystnie mistrzów, a przyjęto wiele bardzo miernych; ale akademija sztuk pięknych tem się usprawiedliwia, że dla dobra sztuki lepiéj jest zachęcać artystów po raz piérwszy w jéj zawód, chociaż nie bardzo szczęśliwie wstępujących, niż wystawiać na widok publiczny dzieła wprawdzie znanych mistrzów, które przecież pośledniéjsze są od ich prac dawniéjszych. Opinija publiczna zdaje się zaprzeczać akademii prawa tąkiego rodzaju wykonania, i chce je zachować dla siebie; domaga się ona, ażeby wszystko, co jest przyniesione, było wystawione, i ażeby ostateczny sąd o wystawie należał nie do wydziałów połączonych akademij, gdzie się znajdują i budowniczy i kompozytorowie muzyczni, ale do najzasłużeńszych sędziów właściwych.

Oburzeni odrzuceniem swoich dzieł artyści, zamierzają przywieść do skutku publiczną wystawę prac swoich na wystawę w Luwrze nie przyjętych, i oczekiwać wyroku opinii publicznéj. Kiedy zniesienie dawnego monopolium akademii, pośród okoliczności sztuce nie bardzo przyjaźnych, niebyło dla niéj bezkorzystném, usunięcie tych ostatnich zapór, wstrzymujących wolny lot talentu, byłoby może pożądaną dla sztuki rewolucyją.

O WYOBRAŻENIACH RELIGIJNYCH STARYCH LITWINÓW.

(z Narbutta.)

Podług oświadczenia w przemowie Narbutt 30 lat życia swojego łożył na zebranie historycznych materijałów i wiadomości, które teraz uporządkowane i obrobione publiczności podał; oto wyjmujemy niektóre:

Pramskimas zwał się Bóg najwyższy, co w litewskiém narzeczu oznacza los, a jego władza obejmuje ludzi, bogów i świat cały. Jego posłami do-ludzi byli *Wanda* i *Weja*, t. j: woda i powietrze. Gniewny przemienił piérwszą w potop wszystko chłonący, a drugą w burzę wszystko niszczącą (zawieja). Jemu nabliższy jest *Okkapirmas*, rodziciel czasu, który stworzył wiosnę i jesień, a życie ludzi między wesołe i smutne dni podzielił. *Perkunas* był bogiem ognia, władzcą gromu, spokrewniony z sławiańskim: Perunem. Bóg wojny zwał się *Kawas*, i szczególna, że miesiąc marzec, który w łacińskim od Marsa nazwę nosi, w litewskim podobnież *kawas* jest nazwany. Jego obrazem zmysłowym (symbolem) był czarny kogut, którego Litwini na wojennych swych chorągwiach nosić mieli. *Ragutis* była boginią wesołości i pijaków, mając w opiece browary piwa i miody. Piwo nazywa się po litewsku *alus*, przypomina nam angielskie *ale* (piwo). Bóg poezyi zwał się *Sotwaros*, jego służebni, litewscy bardowie, nazywali się *burts* i *burtinikai*, powszechnie należą do wajdelotów, podrzędnéj klasy kapłanów, których najwyższy, *krewe-krewejto*, w Romowie w Prussiech miał swą stolicę. Bóg morza zwał się *Atrimpos*, nienawistny Litwinom, którzy się też także nigdy daleko na morze nie ważyli, chociaż mieszkali na jego brzegu, od ujścia Wisły do Diny.

Słońce było rodzicielką ziemi, jego mężem księżyc. Inne dzieci z tego małżeństwa były gwiazdy, o których Litwini mniemali, iż światło swe od matki słońca, jak ziemia, biorą. Śpiew gminny, którego Narbutt za starożytny uważa, opiewa następujące zdarzenie:

»Księżyc zaleca się słońcu, ich pocałunek zrodził »piérwszą wiosnę; najraniéj zbudziło się słońce, a księżyc »dłużéj spoczywał; błądził po temu samotnie, i pokochał »się w porannéj zorzy; to obraziło Perkuna, i przeciął go »na dwie połowy. Dla czegoż porzuciłeś słońce; dla czego »pokochałeś się w zorzy, i śród nocy błądzisz samotnie?«

W dalszym ciągu opisuje Narbutt w osobnym rozdziele kilka starożytnych litewskich grobów, które podług objaśnienia i dołączonego rysu, są do tych podobne, jakie bywają często w północnych Niemczech znajdowane. Byliżto Celtowie, czyli Sławianie lub Germanie, którzy część Europy temi pomnikami teraz nieznanego czasu i nieznanego życia zasieli? Tylko za pomocą jak najdokładniéjszego porównania, jeszcze tu i ówdzie okazujących się szczątków tego rodzaju w różnych krajach, różnych języków, będziemy mogli dostateczne mieć poznanie o tych dziwnych ziemi i kamieni-mogiłach.

Godne jest uwagi, iż Litwini, podobne mogiły z pogańskich czasów zowią także olbrzymie groby *(milsu kappi)*; koło Wilna jedna mogiła w podaniu gminu nazywa się: Mogiła wiel. księcia Gedymina; a druga zaś w okolicy: *Kapinios wade Boussa* (kopiec wojewody Bussa. O tym Bussie wzmianka w »Pieśni o wyprawie Igora«). *(Z Blät. f. lit. Unterh.)*

Nowa literat. francuzka. Najświeższy romans Juliusza Janin: *Le chemin de traverse* (Krzyżowa droga), we dwóch tomach, nadzwyczajny obudza interes w modnym czytającym świecie. Także romans: *Une coquette*, jak wnoszą wyszły z pod pióra kobiety, wielce mile przejętym został od Paryżanów. Odmalowanie osoby główne rolę grającéj ma być tak wykończone i tak pełne prawdy, że czytelnik mimowolnie szuka w swojéj pamięci, czy nie zna podobnego oryginału. Działanie tam bardzo proste: widać, że autorce chodziło najwięcéj o wydanie jednego charakteru.

Literatura wschodnia. Akademija umiejętności w Petersburgu zajęła się wydaniem dzieła w języku mongolskim: »Historyja czynów Gesser-Khana i jego bohatérskich przygód.« Poemat ten bohatérski niezmiernie u Mongołów lubiony, zapewne wzbudzi ciekawość oryjentalistów europejskich. — W kazańskiéj uniwersyteckiéj drukarni Józef Kowalewski wydał mongolską gramatykę, który kosztem rządu zwiedził Mongoliję i Chiny. Tenże podróżnik wyda niebawem i mongolską chrestomatyję, we 4ch częściach.

Sławny chemik Davy opowiada w dziele swojém *Consolations in Travel*, iż nie zna piękniéjszych okolic jak te, które są zamknięte alpami południowego Tyrolu

i Iliryi, noryckiemi i julijskiemi, oraz styryjskiemi alpami a które nazwać można Alpami Austryi. Rozmaitość obrazów, zieloność tak i drzew, głębokość dolin, wyniosłość gór, przejrzystość i obszérność stawów i jezior, nadają téj krainie, zdaniem mojém, nad szwajcarską pierwszeństwo. Nadto rozmaitość ubiorów Włochów, Iliryjczyków i Niemców, ich prosta i szczéra uprzejmość dla podróżnych, czynią w tym kraju pobyt bardzo miły.

Młody, ale nad stan swój dobrze wychowany włościan, służący p. Adama Kettenring w Hermensberg, w nadreńskiéj Bawaryi, zakochał się w córce swego pana i również u młodéj Elżbiéty Kettenring zyskał wzajemność. Gdy się to wydało, służący został natychmiast przez ojca panny odprawionym. Wkrótce rozeszła się pogłoska, że oboje kochankowie zniknęli, i p. Kettenring opowiadał znajomym, iż ma pewną wiadomość, że się udali do Ameryki. — Po tym wypadku dziewięć już lat przeszło i wszyscy o nim zapomnieli, kiedy przed siedmią miesięcy stróż nocny wiejski dał znać burmistrzowi, że słyszał jęki w sklepie Kettenringa. Natychmiast przedsięwzięto środki i dom został otoczonym, a sam Kettenring uwięzionym. Burmistrz, stróż nocny i kilku żandarmów pospieszyli do lochu i tam przejęci zostali zgrozą, słysząc głuche jęki, wychodzące z szafy, z grubych tarcic złożonéj. Po jéj otworzeniu przerażający widok oczom się ich przedstawił: Osoba naga, zagrzebana w steku nieczystości, ledwie dawała znaki życia. Byłato Elżbieta Kettenring... Istota na wpół zdziczała, prawie z ludzkiéj postaci wyzuta; z całéj odzieży, w jakiéj ją zamknięto, miała tylko około szyi ostatek koszuli; całe ciało było w stanie wynędznienia, przechodzącym wszelkie opisanie; nie mogła mówić, słowa zamierały na ustach. Pospieszono dać jéj wszelką pomoc, jakiéj tak opłakane położenie wymagało; starano się odżywić i umysł i ciało; przywrócić jéj powoli dawne wspomnienia, i tyle już dokazano, że sobie przypomina przeszłe wypadki, mówi do rzeczy, i można ją uważać za zupełnie uleczoną. Co się stało z jéj kochankiem, nie wiadomo. Domyślają się, że ojciec Elżbiety zabił go w jéj oczach i potém ją zamknął w tym grobie, ażeby zbrodnię swą ukryć. Wszyscy z niecierpliwością oczekują wypadku badań samej sprawy, która się wytoczy przed sądem kryminalnym Dwóch-Mostów.

Marechala system ruchomych kolei żelaznych obudza wielki interes. Idea tego, znanego dawniéj wynalazku w Austryi, na tém się zasadza, aby z kołami powozu tak połączyć koniec szyny żelaznéj, ażeby się takowa przed toczącem się kołem układała na ziemi, i tym sposobem ciągle odnawiającą się, a za kołem urywającą się kolej tworzyła. Wóz Marechala ma 8 kół, cztéry większe, a cztéry mniejsze; szyny zaś okręcają się około nich, i rozciągają się znowu na drodze. Podług zeznania naocznych świadków, wóz ten toczy się z największą szybkością po kamieniach, chociaż ciężko jest obładowany i tylko parą ciągniony koni.

Towarzystwo medyczno-botaniczne w Londynie przeznaczyło doktorowi Rousseau w Paryżu srebrny medal, za jego odkrycie, iż ostrokrzew *(Ilex, Stechpalme)* najlepszym jest środkiem przeciw febrze, i nawet tam pomaga, gdzie kora Chiny nic skutkować nie może.

Pan Schneider w Dreźnie dowiódł bardzo jasno, że księżyc nie może być zaludnionym, jakto niektórzy astronomowie utrzymywali; bo, mówi, gdzieżby się jego mieszkańce wtenczas podzieli, kiedy księżyc przyjdzie na *ostatnią kwadrę*, to jest: kiedy z całego planety tylko czwarta część zostanie?

W Paryżu u cukiernika Bonchamp wychodzi słodka poranna gazeta; miasto papiéru wydrukowaną jest na cienkich opłatkach robionych z czystego cukru i mąki, farba liter składa się z palonych migdałów i miodu. Damy paryzkie pożywają codziennie 10,000 egzemplarzy téj gazety. Pomysł ten wart naśladowania, szczególniéj dla wszystkich pism krytycznych, których gorycz złagodzoną być może słodyczą cukrową.

Dwie rzeczy wzbudzają teraz podziw w Londynie, sąto dwa kolosalne zjawiska: *wielki skrzypek*, i *olbrzymia kapusta*. Pierwszym jest Norwegczyk Ole Bull, którego na równi stawią z Paganinim. Wiele obudza on tam podziwu, który, aby powiększyć, rozsiéwają o nim podobne bajki, jak o Paganinim.

Wielka menażeryja w Londynie jest teraz najbogatszą i najciekawszą w Europie. Znajduje się w niéj 16 słoniów, z których jeden centkowany jak zebra; lew przewyższający wszystkie dotąd widziane w Europie swoim ogromem; oprócz tego 38 lwów i lwic rozmaitego kształtu, 27 tygrysów, rysiów i lampartów, a wkrótce przybędzie do tego zbioru koń nilowy, rynoceros i tapir. — Paryzkiéj zaś menażeryi najnieszczęśliwiéj powiodło się tego roku: Pyszny jéj tygrys zdechł, i wszystkie lwy samce poginęły, dwa lamparty otruto, girafa zachorowała, a białego niedźwiedzia, szczególniejsze zdarzenie! skradziono. Jeżeli Paryżanie nie dostaną pięknego samca orangutana, pierwszego, którego żywcem schwytano; menażeryja ich wcale nie będzie interesującą.

Pewien posiadacz domu modlitwy w bliskości Caistor, upominał się na jednym z ostatnich posiedzeń izby lordów, aby zniesiono bardzo śmieszny zwyczaj, przywiązany do jego posiadłości, to jest, iż w każdą kwietniową niedzielę, osoba z jego ramienia wyznaczona powinna nad głową duchownego bicz trzymać, w chwili gdy ten na ambonę wstępuje. Wspomniony właściciel obawia się, aby zaniedbanie tego zwyczaju nie przyprawiło go o stratę téj własności, jeżeliby mu parlament w tém nie dał pomocy. Dz. *Times* taką podaje w tym względzie wiadomość: »Caistor zamieszkanym był przez Rzymian, i zbudowanym przez Saxona Hengist, któremu Wortigern tyle darował kraju, ile skóra wołu, pocięta w rzemienie *(thong)* zająć mogła; i z tegoto początek bierze nazwa Thong-Castle. Zdaje się jednak podobniéjsza do prawdy, że ta nazwa wiąże się z owym szczególnym warunkiem, zapewniającym posiadanie domu modlitwy, a ten jest, aby posiadacz, lub jego pełnomocnik w kwietną niedzielę, podczas gdy ksiądz przy mszy ś. epistołę czyta, trzykroć u drzwi kościoła z bicza trzasnął, poczém aby wszedł do kościoła, i gdy duchowny czyta ewangeliję, ukląkł, trzykroć wywinął biczem, i potém w ławce zasiadł. Rzemień *(thong)* biczowy zostaje potém w darze oddany księdzu, wraz z przywiązanym do niego workiem pełnym srébrnéj monety.«

Stan kobiet u dzikich narodów wielce jest godnym pożałowania, jakto wykazuje się z podań sławnego statystyka Balbi. Najpowabniejsze dziewczęta Mingrelii, od 13 do 18 lat, nie kosztują nawet po 20 talarów; kobiétę dostać można za 12. Młoda Czerkaska, kiedy jest urodziwą, a osobliwie rudowłosą, płaci się po 17,000 frank. Dziewczyny u Kaczyzów dostać można za cenę od 5 do 50 owiec lub wołów; musi być coś nadzwyczajnie pięknego, żeby 100 kosztowała. U Kirgizów zwykła cena dojrzałéj dziewczyny jest 50 koni, 25 krów, i 100 owiec, kilka wielbłądów, albo niewolnik z wozem. Dziewczyna u Tunguzów płaci się 200 sztukami bydła; przed 20 laty nie kosztowała tam więcéj tylko 20 reniferów. U Samojedów za dziewczynę płacą 20 reniferami, co na 100 lub 400 frank. przychodzi. U Nogajów w Rossyi mąż kupuje sobie żonę, za klacz. Pan English, który podróżował po Egipcie i Nubii, powiada, iż w krajach barbaryjskich zwykle cena dziewczyny jest koń. Nubijczykowie kupują sobie żony za 36 piastrów, a najpiękniejsza Beduinka nie płaci się więcéj, jak dwoma wielbłądami.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.